



**Koza w natarciu - czyli telefon, lawenda i pasta do  
butów**  
Gronostaj

**Published:** 2009

**Categorie(s):**

**Tag(s):** short story action funny

Jan Nowak był zwykłym człowiekiem. Mieszkał w wynajętym mieszkaniu w bliżej nieokreślonym mieście. Codziennie rano wstawał, golił się, zabierał spod drzwi gazetę i mleko oraz jadł śniadanie, później oglądał telewizję i szedł na obiad do pobliskiej restauracji. Do 13:30 zajmował się normalnymi sprawami jak inni normalni ludzie, potem szedł do Biedronki, gdzie pracował jako ochroniarz. Do 22:00 włączył się w kółko między półkami, po czym wracał do domu, jadł kolację i jak normalny człowiek szedł spać. Jego życie toczyło się monotonnie między domem, restauracją i Biedronką.

Mogłoby się wydawać, że pan Jan jest normalnym człowiekiem - i słusznie, bo nim był. Ale mniej więcej raz do roku zdarzało się coś, co zaburzało idealny rytm jego życia.

Pan Jan jadł śniadanie, gdy usłyszał dźwięk dzwonka komórki. Nikt nie miał tego numeru, nigdy nie dzwoniła, nawet operator nie chciał nic zaoferować swojemu staremu klientowi. Jedyłą osobą, która mogła zadzwonić pod ten numer, był szef - a raczej asystent szefa. Jan nacisnął zieloną słuchawkę.

- Słucham.

- Czy pan Jan Nowak?

- Tak, to ja.

- Proszę stawić się w gabinecie szefa. To pogotowie.

Jan natychmiast schował komórkę do kieszeni, oblał się niechcący mlekiem, założył garnitur i poszedł do piwnicy. Tam stał stary, zakurzony motocykl. Został kupiony dawno temu, kiedy Jan jeszcze spodziewał się, że całe życie będzie normalnym człowiekiem. Ale od pewnego czasu, mniej więcej raz do roku stawał się agentem. Gdy wszyscy zawodzili, on wkraczał do akcji. Umiał dokonać rzeczy niemożliwych, z resztą tak był szkolony - miał sobie radzić w każdych warunkach. Mógł zrobić z zapałki żarówkę energooszczędną, gdyby zaszła taka potrzeba.

Motor oddalał się od domu. Był to ostatni raz, gdy Jan widział to mieszkanie - po każdej misji rząd dla bezpieczeństwa przyznawał mu nowe. Problem z tą pracą był prosty, lecz uciążliwy - nie było można nigdzie zapuścić korzeni, mieć przyjaciół. Zawsze mógł zadzwonić telefon, kończąc w ten sposób kolejny normalny fragment życia.

Gabinet szefa był niewielki. Na ścianach wisały dyplomy, zdjęcia rodziny i olbrzymie poroże jelenia. Podobno szef zastrzelił go osobiście, jednak niewielka naklejka z ceną zdawała się zaprzeczać jego wielkiemu

wyczynowi. Szef nawet o niej nie wiedział, nigdy nie zwracał uwagi na szczegóły. Pośrodku gabinetu stało biurko - tanie, drewniane, kupione w Biedronce. Jan widywał takie w dziale sprzętu domowego. Na nim stał wazon z kwiatami wyschniętymi od trzech tygodni, lecz mimo to regularnie podlewanymi. Był tam też stos papierów, który chyba nigdy nie malał. Nieformalnie nazywano go cmentarzyskiem podań. Obok papierowych nieboszczyków było wieczne pióro szefa, jego druga duma - zaraz po jeleniu. Było czerwone, nieco poszerzone przy skuwce, najwyraźniej bardzo rzadko używane - prawie nie było go widać spod kurzu. To był właśnie ten brak dbałości szefa o szczegóły. Gdyby codziennie wrzucać do gabinetu po piłeczce do tenisa, nic by nie zauważył. Na początku byłoby ich kilka, po roku zajęłyby cała podłogę, po dwudziestu latach szef z trudem by się przez nie przedzierał, lecz nie przyszłoby mu do głowy, by coś z nimi zrobić.

Trudno było powiedzieć coś o fotelu za biurkiem, gdyż był on skutecznie zasłaniany przez wielkie, kuliste cielsko. Jego właściciel był szefem tajnej agencji współpracującej z rządem i mającej na celu przeciwdziałanie terroryzmowi, korupcji, emisji dwutlenku węgla i paru innym złym rzeczom. W tym konkretnym przypadku chodziło o wszystko naraz, generalnie o to, co można zauważyć w przeciętnym gimnazjum. Szef rozpoczął rozmowę.

- Myślę, że wiesz, po co zostałeś wezwany, Janie.
- Domyślam się, że to kolejna tajna misja.
- Jak zwykle masz rację. Czy mówi ci coś nazwisko Doktor Koza?
- To ten gangster, którego zwolniliśmy z aresztu miesiąc temu?
- Tak. Nasz tajny współpracownik Lolek donosi, że Koza planuje podrzucenie nam bomby biologicznej. Nie wiemy jeszcze gdzie zamach będzie miał miejsce, ale na pewno będzie to duży, reprezentacyjny budynek z mnóstwem ludzi w środku.
- Ile jest takich budynków?
- Jeden, Lotnisko Bobowa Zdrój.
- I nie wiecie, o który z nich chodzi?
- To właśnie będzie twoje zadanie. Musisz znaleźć ten jeden jedyny. Następnie zostaniesz tam wysłany. Profesor Gutenmorgen wytłumaczy ci szczegóły techniczne.

Gutenmorgen kontrolował prace zespołu badawczego agencji. Zawsze robił dziesięć rzeczy naraz i był rozkojarzony. Jego siwe włosy były ułożone w stylu "wiewiórka na kacu". Nosił grube okulary z trzykrotnym zoomem optycznym i optyką Karl Zeiss. Był wyczuwalny na

odległość 120 metrów dzięki unikatowej wodzie toaletowej Eau de Szambeau by Grzechu Armani.

- Pan to zapewne profesor Gutenmorgen.
- Jak już to po angielsku, nienawidzę szwabów.
- Jak to po angielsku?
- Profesor Goodmorning. Albo po francusku Profesoir PISOIR.
- Jasne. Szef powiedział, że objaśni mi pan szczegóły misji.
- Jaki tam pan, Stefan jestem. Pozwól, Janeczku, że skorzystam z rekwizytu.

Profesor zniknął na chwilę pod stołem, a po chwili pojawił się ponownie, lecz tym razem z makietą - normalnie jak Harry Potter.

Makieta przedstawiała budynek lotniska. Było duże, reprezentacyjne i z mnóstwem ludzi w środku. Idealne miejsce na atak terrorystyczny.

Profesor kontynuował rozmowę:

- Oto makiety budynków, które wchodzi w grę. Wiesz już, o który chodzi?

- Tak, jestem pewny, że to ten. - powiedział pan Jan i pokazał na makietę lotniska.

- Doskonale. Spójrz więc tutaj. To wejście do kanału. Zdejmiesz kratę i wpełzniesz do środka.

- Oczywiście mowa o kanale wentylacyjnym?

- Też. Tak więc wpełzniesz do środka i będziesz szukał bomby biologicznej. Gdy ją znajdziesz, wyciągniesz pojemnik z gnojówką i założysz ten. - profesor wyciągnął flakonik płynu do Brise Mini Spray o zapachu lawendowym.

- Ta gnojówka to taka barwna metafora?

- Niekoniecznie. To bardzo tani materiał biologiczny, a jej jednym gramem można zabić sto osób. Jeszcze jakieś pytania?

- Kiedy mam odbyć misję?

- 15 maja, w dziesiątą rocznicę wystąpienia Polski z Unii Europejskiej. O godzinie 15:00 odlatuje stamtąd samolot do Azerbejdżanu, w terminalu będą tłumy.

- Przecież to dzisiaj... Za 49 minut.

- O rzesz kur...

W związku z nieprzewidzianym opóźnieniem, agencja postanowiła desantować pana Jana ze śmigłowca pogotowia ratunkowego. Była to prawdopodobnie pierwsza tego typu operacja taktyczna w Europie, a być może nawet na świecie. Jako że śmigłowce nie latają zbyt wysoko, Jan miał niewiele czasu na oglądanie okolicy. Zobaczył jednak wielki,

neonowy napis "Bobowa Zdrój Airport". Pod napisem był budynek: duży, reprezentacyjny i z mnóstwem ludzi w środku, idealny na atak terrorystyczny. Spadochron złożył się powoli zasłaniając panu Janeczkowi widok budynku. Kilka szybkich ruchów nożem i agent uwolnił się spod płachty z logiem coca-coli. Po prawej stronie od wejścia rysował się czarny prostokąt kanału zasłoniętego kratą. Był naprawdę wielki, nawet jak na taki budynek. Jan podszedł dyskretnie. Wyjął ze swojego przybornika wkrętarce na baterie i stwierdził, że się rozładowały. Sięgnął więc po śrubokręt i zaczął odkręcać śruby, jedna po drugiej, równie dyskretnie, jak wcześniej podchodził. Ostatnią odkręcił jeszcze dyskretniej, po czym mniej dyskretnie upuścił z hukiem kratę. Z budynku wybiegła ochrona i odpędziła go krótkofalówką. Jan, nieco zdezorientowany, popęzł w krzaki i schował się za spadochronem.

Ochroniarze ciągle patrzyli dziwnie, jakby wiedzieli, że tam jest. Rzucił okiem na zegarek - była 14:51. Za 9 minut tysiące ludzi miały zginąć w skutek wdychania gnojówki. Musiał działać szybko. Niewiele myśląc, wyskoczył z krzaków. W tej sytuacji czuł się swojsko - miał to w genach, jego dziadek był partyzantem. Panowie w czarnych kurtkach spojrzeli na niego jak na wariata, po czym popatrzyli na siebie i znów spojrzeli na niego jak na wariata. Tymczasem Jan wyjął ze swojego przybornika patelnię (specjaliści twierdzą, że smaczne posiłki w czasie misji to podstawa) i pogrzebał kopytem w ziemi. Następnie parsknął i ruszył w kierunku pierwszego ochroniarza, który po chwili zgiał się w pół w skutek uderzenia "z byka". Natomiast jego kolega dla kontrastu przechylił się niebezpiecznie do tyłu. Nic dziwnego, patelnia solidnie przyłgnęła mu do czoła. Zdażył jeszcze podeprzeć się ręką, ale po chwili skontrował i padł twarzą na szarą kostkę brukową, której kolor idealnie pasował mu do cery. Jan zaciągnął jego ciało za krzak obok chodnika i przykrył spadochronem, by mniej rzucało się w oczy. Obok wylądował drugi ochroniarz.

Droga do bomby stała otworem, konkretnie otworem kanału, wentylacyjnego też. Jan ruszył w jego kierunku pewnym krokiem. Ostrogi przy jego butach brzęczały rytmicznie. Pewność siebie agenta malała wraz z odległością, więc przy samym kanale usiadł i rozpłakał się. Ponownie rzucił okiem na zegarek - zostało tylko siedem minut. Połknął garść rumianku na uspokojenie i wszedł w gardło lotniska, ciemny kanał z ukrytą bombą. Przy jego wielkości mógł iść wyprostowany. Miał oczywiście latarkę, ale wolał nie wiedzieć, czym jest lepka maź, w której stawiał buty.

Szedł w ciemnościach, aż doszedł do rozwolnienia. To znaczy rozwidlenia, tamto to pomyłka w druku. Mógł skręcić w lewo albo w prawo. Nie miał zbyt wiele czasu, a wybór był trudny. Postanowił nadal iść prosto. Zobaczył z bliska ścianę kanału i nieco zmieszany wpadł w maź na podłodze. Przetarł oczy i zobaczył JA. Była na suficie. Zegar tykał, zostały tylko dwie minuty. Jan nieraz rozbrajał ludzi, ale w tym przypadku nie mógł zastosować swoich sprawdzonych metod. Bomba była na suficie, więc nie dało się jej kopnąć. Solidne mocowanie uniemożliwiało zrzucenie jej z piątego piętra, z resztą najbliższe piąte piętro było w Nowym Targu. Jan spróbował ostatniej znanej mu metody - obrzucił bombę wyzwickami. Nie pomogło, więc zostało tylko jedno wyjście - wykonać polecenie przełożonych. Znalazł fiolkę z gnojówką i podmienił na Brise Mini Spray o zapachu lawendy. Przez chwilę poczuł zapach śmierci, który trochę go zemdlił, ale zatkał fiolkę i zalał silikonem dla bezpieczeństwa.

O godzinie 15:00 na lotnisku Bobowa Zdrój zaczęło nagle pachnieć lawendą. Zaniepokojeni pasażerowie wezwali ochronę, ale ta się nie zjawiała. Nagle ni stąd, ni z owąd w damskiej toalecie pojawił się mężczyzna w czarno-klejąco-brązowym garniturze. Nonszalancko machnął ręką w stronę przyglądających mu się pań i wyszedł. Ludzie w terminalu trochę panikowali, więc ich zignorował. Przeszedł przez odprawę celną i ruszył w kierunku śmigłowca, który już na niego czekał. Zapalił silnik od zapałki, pierdutło i odleciał. Zdażył zobaczyć tylko oddalające się lotnisko. Po chwili zadzwoniła komórka.

Tym razem osobiście dzwonił szef. Pan Janeczek najchętniej wcale by nie odbierał, ale z drugiej strony na biedronkowej pensji nie dało się żyć. Dzwonek z Mission: Impossible stawał się natrętny, więc w końcu odebrał.

- Janie, wytłumacz mi, czemu na lotnisku śmierdzi gnojówką.
- Jak to? Przed chwilą wystartowałem śmigłowcem, na dole jedzie lawendą jak z fabryki Air Wicka.
- Co ty gadasz, właśnie jestem w tym śmigłowcu, odpaliliśmy tam na dole neutralizator ale i tak czuć wyschniętą słomą!
- A gdzie szef jest, bo go nigdzie nie widzę?
- Pewnie kilkadziesiąt kilometrów dalej!
- W takim razie czym śmigłowcem ja lecę?
- Nie wiem, ale leć do bazy. Koza na pewno coś już majstruje. Co tak piszczy?

- To u mnie, chyba immobilizer się włączył. Na dole jakiś facet do mnie macha jednym palcem. Trzecim od lewej.
- Nieważne, załatwimy to jakoś. Leć do biura.
- Jasne, szefie. Kupcie temu gościowi chociaż lizaka, żeby przestał krzyczeć.

W trakcie lotu okazało się, że GPS w śmigłowcu ma zainstalowane kilka gier. Jan włączył autopilot, a później Tetrisa. Gdy miał już ponad 2000 punktów, okazało się, że GPS zamiast najkrótszej trasy wybrał najszybszą, czyli wzdłuż autostrady. Ta niestety nie została jeszcze ukończona, więc śmigłowiec zawisł w powietrzu na końcu gotowego odcinka. Jan szybko zmienił ustawienie autopilota i maszyna pomknęła do celu. Mapy były niedokładne, więc pewnie minęła by bazę i poleciała dalej, ale na szczęście Windows zawiesił się w odpowiednim momencie. Śmigłowiec spadł na pole uprawne i wylądował miękko w burakach. Asystent szefa od razu wybiegł i zaczął krzyczeć, że przez tydzień sadził te buraki i "teraz k\*\*\*a to się może liśćmi podcierać". W końcu się z tym pogodził i zaprowadził Jana do szefa.

- Szefie, o co tu chodzi?
- O co? O ZOMO! Ty idioto, to inna Bobowa Zdrój! Chodziło o tą koło Krakowa, a nie pod Nowym Targiem!
- Ahaaa, o TAMTĄ Bobową Zdrój... To czemu tu mnie desantowaliście?
- Bo zagadywałeś pilota czego używa, że ma takie lśniące włosy pod pachami i źle wprowadził dane do GPSu!
- Przynajmniej wiem, że to peruki.
- Pieprzyć włosy pod pachami, daj tą fiolkę, którą podmieniłeś, sprawdzimy co to jest!

Szef powąchał zawartość podanej przez Jana fiolki i stwierdził, że to gnój. Najwyraźniej Jan niechcący udaremnił próbę zamachu terrorystycznego. Nie zważając na to, przełożony obciął mu pensję i zagroził, że jeszcze jedna taka wpadka to obetnie mu co innego i że będzie bez tego cienko piszczał. Naszczę cię Na szczęście tym razem obyło się bez ofiar dzięki szybkiej akcji szefa i neutralizatorowi.

Zatrudniono cały sztab ludzi, który miał przewidzieć kolejne działania Doktora Kozy. Ich wnioski pokryły się ze zdaniem pana Mietka spod sklepu, a dokładnie mówiąc odkryli, że Koza będzie chciał powtórzyć akt terroru. Pan Mietek dodał jeszcze, że najlepiej byłoby temu zapobiec z wyprzedzeniem czasowym, więc sztab ludzi zwolniono, a pan Mietek

został głównym konsultantem agencji. Jana natomiast wysłano do hacjendy Doktora, gdzie ów przebywał na zwolnieniu lekarskim. Zawodowo pracował w Zakładzie Przetwórstwa Mięsnego "Knurr", gdzie pełnił stanowisko lekarza weterynarii, więc wybór pseudonimu wydaje się nie być przypadkowy.

Tym razem Jana desantowano z parolotni, ponieważ zdaniem pana Mietka "nie ma co helikopterem szpanować jak dresy ajfonem". Zastosowano się do przepisów armii rosyjskiej, konkretnie do 5. punktu Instrukcji Desantowej: Z 20 i mniej metrów desant wykonuje się bez spadochronu. Paralotnia była z Ikei, więc przepisowego pułapu nie przekraczała. Nie wiadomo, czemu szef uparł się na armię rosyjską. Być może dlatego, że Doktor Koza był Rosjaninem, albo dlatego, że ochrona hacjendy miała kałasznikowy. Janek dachował, lecz po chwili odzyskał pełną sprawność, wyjął z przybornika czarną pastę do butów i przy jej pomocy zlał się z tłem, a potem w krzaki, ale już bez jej pomocy. Nie był już widoczny, ale sam też nic nie widział, więc wziął gogle noktowizyjne. Założył je i włączył. Do budynku miał tylko 100 metrów, ale na tym dystansie musiał ominąć trzech goryli oraz wyrzutnię rakiet ziemiopowietrze i przeskoczyć fosę z krokodylami. Jak to Polak, od każdego ze strażników wziął po granacie, a z wyrzutni trochę części na złom, w końcu nikt go nie widział. Jednego krokodyla zadźgał nożem i usmażył w kieszonkowej mikrofalówce na chrupko. Potem rzucił pieczeń jej po-bratymcom, zestawem Małego Majsterkowicza zbudował prowizoryczny most z czterema pasami ruchu i przedreptał na drugą stronę. Musiał jeszcze pokonać drzwi. Kierowany doświadczeniem zajrzał pod wycieraczkę, znalazł klucz i użył go do otwarcia zamka. Nacisnął kłamkę, popchnął drzwi i ich uderzeniem ogłuszył strażnika. Teraz musiał zdecydować, gdzie pójdzie. Przypomniał sobie, że o tej porze transmitowany jest mecz, więc skierował się do salonu. Za drzwiami stała zgrzewka piwa, dalej stał fotel, a przed fotelem stał olbrzymi telewizor. Na fotelu - dla odmiany - siedział Doktor Koza. Sprawdzonego sposobem Jan uderzył go patelnią w głowę. On natomiast nie raczył nawet zemdleć, ale obejrzał się za siebie. Napastnik ukrył się za fotelem w nadziei, że Koza pomyśli, że mu się przywidziało. A ten cwaniak spojrzał na niego. Jan musiał szybko zareagować, więc rzucił podwędzony wcześniej granat. Nie zdążył wyjąć zawleczonej, ale przynajmniej podbił Doktorowi oko. Słyszał już, że Koza ma mocną głowę, a teraz rozumiał, że nie chodzi tu o zgrzewkę piwa. Wyskoczył zza fotela i uciekł do kuchni. Następnie, zanim Doktor zorientował się co się dzieje, Jan

wyskoczył z drzwiami od lodówki i uderzył ponownie. Nawet to nie dało efektu, więc znów skierował swe myśli ku zgrzewce. Chwycił ją prawą ręką i rzucił jak frisbee. Zgodnie z przewidywaniami Jana, była to zbyt duża ilość alkoholu nawet dla mocnej głowy Kozy. Biedak czknał jak na kacu, zrobił zeza i bełkocząc przewrócił się do tyłu. Janek zdał sobie właśnie sprawę, że alkohol też może być sposobem rozbijania ludzi i żałował, że nie spróbował napić się z bombą. Pozostała jeszcze kwestia transportu Kozy na biurko szefa, w końcu to niemałe zwierzę. Rozważył przy piwie wszystkie możliwości, przedyskutował sprawę ze swoim drugim "ja". Wiedział, że Doktor ogłosił alarm, gdy on odkręcał drzwi od lodówki. Ochroniarze na pewno byli już w stanie gotowości. W korytarzu spojrzął na ekrany monitoringu. Widział, że wszystkie wyjścia są obstawione. Dlatego wyszedł wejściem. Przekroczył most, podłożył zrobiony uprzednio z widelca, mąki kukurydzianej i mleka w proszku ładunek wybuchowy pod wyrzutnię raket, ustawił połączony z nim minutnik do jajek na 30 sekund, po czym usiadł na wyrzutni i usadowił Doktora obok. Po chwili wyrzutnia z hukiem oderwała się od ziemi i poszybowała w kierunku przeciwnym, niż Jan wcześniej obliczył. Mimo to wylądowała obok garażu tak jak chciał, bo pomylił się w mnożeniu. Jak mówi staropolskie przysłowie: "Wszystko co złe, to się dobrze kończy". Nawet Doktor z jednej strony kończył się eleganckimi lakiernikami, a z drugiej równiutkim przedziałkiem. Ten ostatni uległ profanacji podczas wrzucania nieprzytomnego Kozy do Jeepa. Silnik oczywiście nie zapalił, więc Jan zadzwonił do PZU. Im też się nie paliło do pomocy. Zmuszony okolicznościami, przyczepił Jeepa do Ursusa i odjechał najciszej, jak potrafił. Nie znaczy to jednak, że całkiem cicho, bo Ursus musi ryknąć, aż się kury w Jeepie obudziły. Nie wiadomo, skąd się tam wzięły, ale jednak były, a później miał być rosół i poobiednia drzemka. Ale to dopiero w niedzielę. A jeszcze w obrębie piątku Jan z trudem uciekł Ursusem przed Mitsubishi ochrony. Co z tego, że tamci nie mieli paliwa, koń ciągnął samochód szybciej niż Ursus jechał. Pościg trwał. Po dwustu metrach koń się zmęczył i zamienił z ochroniarzami. To dało przewagę Janowi, bo oni słabo ciągnęli, a koń słabo strzelał. W końcu zdenerwował się i rzucił granat. Kury zaczęły walczyć o zdobycz, gdy tylko zobaczyły, że coś się zbliża. Największa dostała w dziób i tym sposobem z dyńki odbiła granat z powrotem do konia. W zostającym z tyłu Mitsubishi wywiązał się krótki dialog:

- K\*\*\*a, kura rzuciła granat! Pomocy!
- Nie mogę ci pomóc, jestem koniem!
- No bardzo k\*\*\*a śmieszne! Sam se to k\*\*\*a ciągnij!

I tym sposobem nikt nie ucierpiał, bo ochrona przestała ciągnąć, więc granat spadł przed samochodem i tylko postrzępił im garnitury.

Ursus miał GPS, ale na zainstalowanych mapach w wersji demo nie było agencji rządowych. Jan ustawił go na wyświetlanie obiektów specjalnych i przełączył z fotoradarów na uprawy buraków. W Polsce pokazywał już tylko jedną i tam właśnie agent skierował swe kroki, a raczej koła. Szef czekał na niego z otwartymi ramionami, bo wtedy jego mokra koszula szybciej schła. Kury, zmęczone trudami podróży, wytarzały się w burakach i wykorzystały wieszaki w szafie szefa jako grzędę. On i tak nic nie zauważył, nawet tego, że asystent codziennie wchodził do szafy i wychodził z koszykiem jajek. Chłopak przywiązał się do swych pierzastych przyjaciół nicią zrozumienia, więc z niedzielnego rosołu też nici. Jan, jak to on, wprowadził się do nowego mieszkania i nadal pracował w Biedronce. Doktor Koza został skazany na 20 lat ciężkich robót na drutach, a później kurs haftu krzyżkowego; po takiej karze odechciało mu się terroryzmu. Natomiast koń zaczął ćwiczyć strzelanie i na zimowych Igrzyskach Olimpijskich wystartował w biathlonie.



**[www.feedbooks.com](http://www.feedbooks.com)**  
Food for the mind